



*Przedziwny Bóg w świętych swoich*

(Ps 67, 36 (LXX))



## ROZDZIAŁ IX



### Jak święty Benedykt ćwiczył się w pokorze, a unikał wszystkiego co miłości własnej schlebia

**N** tak więc ukrytego, a w oczach świata co najmniej poniżającego sposobu życia tego sługi Bożego, a zwłaszcza z powodu, że wszelkich stosunków z ludźmi jak najstaranniej unikał, niewiele o nim pozostało szczegółów. Te jednakże, które skrzętnie pozbierano zaraz po jego śmierci, gdy rozpoczęto proces jego beatyfikacji, dowodzą w nim ostatecznego zaparcia, najgłębszej pokory, zadziwiającej wytrwałości w raz obranym pokutnym, ubogim i umartwionym życiu i wreszcie szczególnych darów na modlitwie. To wszystko stawia go w rzędzie najostrzejszych pokutników i najsłynniejszych w Kościele Bożym, którzy czcili Najświętszy Sakrament.

Cnota jego pokory na ciężkie i ciągłe próby narażoną była. W każdym innym stanie, nie wyjmując zakonnego, cnota ubóstwa, chociażby najszczerzej

umiłowanego i najściślej zachowywanego, nie wystawia na taką pogardę i poniewierkę, jakie co krok spotykają pospolitych żebraków. Świat bez żadnego skrupułu brzydzi się nimi, poczytuje ich za wyrzutków społeczeństwa i obchodzi się z nimi jakby z żywymi i plugawymi wrzodami społecznego ciała, od których odwraca się ze wstrętem. Nawet z pomiędzy i prawowiernych chrześcijan, którzy wiedzą, że Pan Jezus kazał w każdym z ubogich, nie wyłączając wcale żebraków, widzieć Siebie Samego, większa część patrzy na nich jak na ofiary własnych win, brzydkich jakiś nałogów, a co najmniej jak na próżniaków wyzyskujących dobroczynność chrześcijańską. Stąd z pomiędzy licznych do ubóstwa przywiązanych upokorzeń, upokorzenie bodaj najdolegliwsze spotyka tylko tych cnoty ubóstwa miłośników, którzy ją do tego stopnia posuwają, że aż dobrowolnie pospolitymi żebrakami się stają.

Któż więc mógł, przy najlepszych chęciach i przy największych staraniach, wyśledzić ile z tego powodu spotykało naszego świętego obelg tak nieraz dotkliwych, a które on zawsze, z wielką łaską Bożą, umiał znosić nie tylko z niezachwianym spokojem, nie tylko cierpliwie, nie tylko bez oburzenia chociażby mimowolnego, ale ze świętą radością, z pragnieniem jeszcze większych zniewag, z przekonaniem najmocniejszym, że godzien jest ostatniej pogardy i najgorszego z nim obchodzenia się innych.

W Rzymie, gdzie od rozpoczęcia swego zawodu żebrackiego spędził ostatnie trzynaście lat życia, nieprędko się na nim poznano. A nawet, gdy i to nastąpiło, bardzo nieliczne gronko osób pobożniejszych odgady-

wało w nim duszę wyjątkowych darów Bożych i świętego pokutnika. W oczach zaś ogółu, niczym się on nie odróżniał od tej wielkiej liczby żebraków w owych czasach zappełniających krużganki kościołów rzymskich.

Z pomiędzy nawet zwykłych ubogich, cała powierzchność jego uderzała ostateczną nędzą i zaniedbaniem, a postawa wyrobiona, że się tak wyrażę, niezrównaną pokorą, tym bardziej wyzwała złośliwość i szyderstwa motłochu, więc go spotykały częste i przykre obejścia się z nim, aniżeli z innymi ubogimi. Zwykle brano go za próżnującego włóczęgę.

Nad żadnym ubogim nie pastwili się ulicznicy z taką szatańską zapamiętałością, jak nad tym sługą Bożym. Ciskali w niego kamieniami, obrzucali go błotem i kałem, podstawiali mu nogi albo kije gdy szedł ze spuszczonej jak zwykle oczyma, a niekiedy bardzo szybko zdążając do jakiegoś kościoła gdzie było wystawienie Przenajświętszego Sakramentu. Inni obchodzili się z nim jak z półwariatem, targali go, popychali jak bałwana, kręcili nim, od śmiechów się zachodząc. Tymczasem on wśród tak barbarzyńskich igraszek, nigdy najmniejszej niecierpliwości nie objawiał. Nie tylko tego nie unikał, lecz najchętniej szedł ulicami gdzie go podobne obelgi spotkać mogły i zwalniał kroku gdy się takowych dopuszczano.

Nieraz obecni tam ludzie, oburzeni nikczemnością niepoczciwych chłopaków rąbiących sobie z niego zabawę, karcili ich i powstrzymywali. A wtedy Benedykt brał ich w obronę, prosił ich, by ich za to nie karano, upewniając, że gdyby go znano, każdy by z nim w podobny sposób postąpił i nie inaczej postępować powinien.

Zdarzało się także, że go tak silnie ugodzono kamieniem, iż do krwi zostawał skaleczony. Wtedy schylał się po kamień, całował go, kładł spokojnie na ziemię i szedł dalej, nie obejrzawszy się kto w niego ciskał.

Gdy mało bywało ludzi w kościele, niekiedy leżał on krzyżem przed Przenajświętszym Sakramentem. Znalazł się kiedyś tak złośliwy chłopak, że stanąwszy nad nim, stawał mu butami to na jedną, to na drugą rękę. Benedykt się nie poruszył, ani rąk nie chował, znosząc to dość długo, aż ktoś z obecnych z oburzeniem odpędził dzikiego swawolnika.

Nadmieniliśmy, że nie chcąc mieć żadnych zapasów, żeby co do słowa, od dnia do dnia życie prowadzić, gdy znaczniejszą jałmużnę otrzymywał, zachowując co mu wtedy było niezbędnym, resztę innym żebrakom rozdawał, wybierając najbardziej potrzebujących. Jakiś możny pan przechodząc, dał mu kilka monet w srebrze, a spostrzegłszy, że Benedykt rozdawał je innym biednym, tak się gniewem uniósł, że przyskoczywszy do niego i złajawszy, zaczął go bić laską. Święty najspokojniej razy przyjmował i z miejsca nie ruszając pokornie się pod nie nachylał. I wnet opamiętało się serce napastnika, który przejęty żalem za swój postępek, zaczął ze łzami przeproszać sługę Bożego i pytać czy by mógł mu wynagrodzić wyrządzoną zniewagę. Lecz on widząc na co się zanośsi, wtedy dopiero umknął czym prędzej i goniącemu za nim panu doścignąć się nie dał.

Lecz niekiedy sam Pan Bóg mścił w sposób widoczny krzywdy wyrządzane Swojemu wielkiemu słudze. Benedykt przechodził razu pewnego przez

jeden z placów rzymskich, na którym kilku młodych ludzi wracających z hulanki, zaczęło go wyśmiewać i w różny sposób znieważać. Święty swoim zwyczajem zwolnił kroku, by się nad nim dowoli pastwiono. Rozzuchwalony tym jeden z tych młodzieńców, gdy już nieco odeszli, cisnął jeszcze w niego kamieniem, dodając złorzeczenie. A tak silnie i trafnie rzucił, że mu ciężką ranę zadał w nogę. Święty, jak to zwykle w takich razach czynił, podniósł kamień, ucałował go i położył na ławce w tym miejscu stojącej. W kilka tygodni później na tym placu, młodzieniec ten zraniony został w nogę zupełnie w to samo miejsce, w które ugodził Benedykta. Rana była bardzo lekka, najmniejszym niebezpieczeństwem niegrożąca. Nazajutrz jednak wdała się w nią gangrena i młodzieniec życiem to przepłacił.

Coś podobnego, lecz z mniej smutnymi następstwami, zaszło w jednej z pielgrzymek naszego świętego żebraka do Loreto. Szedł on już dzień cały, nigdzie ani posiłku, ani jałmużny nie dostawszy. Pod wieczór zupełnie osłabł i czuł potrzebę napicia się wina, które we Włoszech jest tak pospolitym i wcale nieupajającym trunkiem, jak u nas piwo zwyczajne. Przecho-  
dząc więc koło zajezdnego domu, wszedł do niego i w głównej izbie, gdzie sprzedawano wino, stanął przy drzwiach w postawie żebrzącego. Gospodarz posadził go przy stole i podał mu kieliszek wina z bułką. Benedykt napił się wina, bułki nie tykając, pokornie podziękowawszy za tę jałmużnę chciał odejść. Lecz karczmarz, który wcale nie myślał go wspierać lecz spodziewał się zapłaty, zaczął groźnie dopominać się o nią. Święty tłumaczył się zmieszany, że pieniędzy

nie ma, a sądził, że go z litości posilono i spokojnie znosił obelgi, jaki rozgniewany karczmarz miotał na niego. Lecz gdy przyszło i do tego, że począł on bluźnić i znieważać Boga, Benedykt wzniósł oczy do Nieba, westchnął żałośnie i w tejże chwili ze zdumieniem kilka osób tam obecnych zobaczyło, że kieliszek napełnił się winem.

W pielgrzymkach, które odbywał, kilkakrotnie wzięty był za złodzieja. A że niepilno mu bywało uniewinniać się, więc parę razy osadzony nawet został w więzieniu. W kilku zaś miejscowościach, gdzie ciężko strudzony chciał parę dni wypocząć, wypędzono go z miasta, jako podejrzanego włóczęgę.

Lecz ze wszystkich podobnych upokorzeń i zniewag, cieszył się z całego serca ten niezrównany miłośnik ubóstwa i upokorzeń, a za krzywdzących go lub prześladujących modlił się jak za największych swoich dobroczyńców. Rozumiał to bowiem dobrze, że głównym wrogiem duszy i największe przynoszącą jej szkody, jest miłość własna. Stąd z jednej strony uganiał się za sposobami, które by tę zgubną namiętność umarzały, z drugiej unikał wszystkiego, co by jej schlebiać mogło.

Gdy po pewnym czasie jego życia żebrackiego, niektórzy poznali się na nim i okazywali mu pewne względy lub szacunek, już to wystarczało, żeby odtąd unikał wszelkiego z nimi kontaktu. W pielgrzymkach swoich do Loreto, blisko już tego miasta, zachodził do pewnego klasztoru Klarysek, gdzie zawsze znajdował posiłek i wsparcie. Z czasem i do tych zakonnic doszła wieść, że Benedykt nie jest pospolitym żebrakiem i że jaśnieją w nim wysokie cnoty i szczególne dary Boskie.

Gdy udając się do Loreto zaszedł znowu do tego klasztoru, przełożona zatrzymała go przy furcie, chcąc z nim pomówić i inne zakonnice pragnące poznać świętego, też po to przyszły. Benedykt spostrzegłszy, że się z nim obchodzą z pewnymi względami, zaraz stamtąd odszedł i już później pielgrzymując do Loreto, nigdy do tego klasztoru nie wstępował.

Przez jedną zimę w Rzymie, bardzo upadł na zdrowiu. Pewien kapłan, wielki jałmużnik, spotkawszy go na ulicy zziębniętego i nadzwyczaj mizernie wyglądającego, zaprowadził do swego mieszkania, posilił lepszą nieco strawą i chciał mu dać przytułek. Święty pomieszczenia nie przyjął, tylko na usilne naleganie księdza, przychodził do niego co dzień brać posiłek. Przy tej sposobności, ksiądz, pomimo że Benedykt starannie unikał wdawania się w dłuższe rozmowy, poznał w nim wielkiego sługę Bożego. Razu więc pewnego gdy od niego odchodził, upadł mu do nóg. Święty z przerażeniem uciekł i od tego czasu tak kapłana tego unikał, że ten już nigdy, pomimo że się o to starał, zetknąć się z nim nie mógł. Tym sposobem postępował z wieloma osobami, skoro zauważył, że jest u nich w jakimś poważaniu.

